

Teksty Drugie 2005, 4, s. 207-216



Dla Jadwigi

Magdalena Kozarzewska

Magdalena KOZARZEWSKA

Dla Jadwigi

cz. I – I.VIII.2004

31 lipca 1944 r. przeszliśmy oboje z Jerzym z Saskiej Kępy – przez most Poniatowskiego – na lewy brzeg Wisły i dotarli na ul. Moniuszki, przy której mieszkali Wujostwo Janina i Jerzy Zempieccy. Mieliśmy serce ściśnięte lękiem przed dalszym biegiem wydarzeń i poczuciem winy. Na Saskiej Kępie zostawiliśmy Ciocię Zosię, która o kilka miesięcy wcześniej ofiarowała nam stałą gościnię w swoim mieszkaniu, wiedząc, że za pół roku ma przyjść na świat nasze pierwsze dziecko. Była to z jej strony ofiara na miarę Jej miłości do Jerzego i rosnącego serdecznego przywiązania do mnie.

Decyzję przejścia do lewobrzeżnej Warszawy podjął Jerzy. Front wschodni zbliżał się do linii Wisły. Oddziały niemieckie, które o 10 dni wcześniej cofały się w popłochu na zachód, wróciły na poprzednie pozycje. Trzeba było liczyć się z atakiem na mosty i ? Pragi i Saskiej Kępy od Stolicy. Od całej mojej rodziny. Od zaplecza szpitalnego.

Dzień był piękny, upalny. Wczesnym popołudniem zadzwoniliśmy do drzwi Wujostwa. Mieliśmy się u nich zatrzymać na pierwszą noc. Niewiele z tego popołudnia pamiętam, poza desperacją Wuja Jerzego, że szaleństwem byłby zryw zbrojny w ówczesnej sytuacji, ogromnym napięciem i niepokojem Cioci Jany i bładą twarzą Jadzi, wtedy chyba 12-to letniej, drobnej, zacięcie milczącej, kryjącej za tym milczeniem swoje własne uczucia – dziecka rozdzielonego z matką i braćmi.

W dniu 1 sierpnia Jerzy poszedł do księgarni Arcta, mieszczącej się na Nowym Świecie 25, blisko skrzyżowania z Alejami Jerozolimskimi, w której pracował przed wojną i do której wrócił po przeprowadzeniu się z Krakowa w kilka miesięcy po naszym ślubie.

Wziął wtedy urlop z organizacji – należał do struktur konspiracyjnych NSZ-tu na terenie Krakowa. Był więc w Warszawie bez przydziału konspiracyjnego.

Podobnie jak ja – niedoszła sanitariuszka, nie wzięta do oddziału ze względu na swoje przyszłe macierzyństwo.

– Tak więc Jerzy został u Arcta, a ja pojechałam na Mokotów na ul. Rakowiecką, do mieszkania, w którym moi Wujostwo, Stefania i Stanisław Schuchowie, stworzyli gniazdo rodzinne dla bliskich, którzy stracili dom nad głową we wrześniu 1939 r. Zastałam tylko moją Matkę i wieloletnią gosposię Wujostwa. Koło południa wbiegł gwałtownie mój najstarszy brat cioteczny, Piotr Schuch, który zaczął gorączkowo zbierać jakieś rzeczy i pakować je do plecaka. Był bardzo wzburzony i napięty, spojrzał na mnie z rozpaczą i powiedział: „masz natychmiast pojechać na stację EKD (kolejki podmiejskiej) i wyjechać z Warszawy. Natychmiast. Nic więcej ci nie mogę powiedzieć”.

I wybiegł z mieszkania.

Zrozumiałam, że powstanie wybuchnie lada godzina. Próbowałam chyba namówić swoją Matkę i gosposię, by zamknęły mieszkanie i obie posłuchały polecenia Piotra. (Gosposia, Panna Lola, miała w Pruszkowie siostrę, stale tam mieszkającą). Zdecydowały się zostać. Pożegnałam się z nimi i pełna najgorszych przeczuć pojechałam do księgarni Arcta. Dotarłam tam koło 15-tej. Powiedzieli mi, że Jerzy już wyszedł. Gdy szłam w kierunku Jasnej, ruch na ulicy wydawał się normalny. Na Moniuszki zastałam Wujostwa i Jadzię, Jerzego nie było. Po krótkim czasie usłyszeliśmy strzały – odgłosy dochodziły z Placu Napoleona, gdzie mieściła się Poczta Główna. Walki rozpoczęły się tam jeszcze przed wybicciem godz. 17-tej – godziny „W”.

Z popołudnia, wieczoru i nocy pamiętam tylko nieustanne odgłosy strzałów, dochodzące ze wszystkich stron. Jerzego nadal nie było. Raz ktoś zadzwonił. Mały, ledwie 12-letni chłopiec zbierał puste butelki: „Na benzynę, na czołgi” – wyjaśnił.

Popołudnie, wieczór, noc wlokły się bez końca. Położyłam się w przygotowanym dla nas pokoju i słuchałam kanonady – wydawało się, że trwa walka na linii Ogrodu Saskiego.

Wczesnym rankiem dotarło polecenie, by zejść do „schronu”.

Tym schronem okazała się kawiarniano-taneczna wielka sala kawiarni „Adria”, mieszczącej się we frontowym budynku przy ul. Moniuszki 4. Mieszkanie Wujostwa mieściło się w oficynie, oddzielonej sporym podwórzem. Do „schronu” schodziło się na głębokość jednego niskiego piętra w dół. Ludzie gromadzili się tam w milczeniu, lokując się grupkami przy stolikach. I my usiedliśmy. Nie pamiętam, co było przyczyną tego alarmu, czy zjawily się pierwsze samoloty? Nie wiem, po jakimś czasie zobaczyliśmy wchodzącego Jerzego. Okazało się, że wyszedł z księgarni na krótko przed wybuchem walk. Ulice znalazły się pod ostrzałem. Klucząc, dotarł do Marszałkowskiej za rogiem Świętokrzyskiej. Dalej iść nie mógł. Zobaczył przy bramie szyldzik stomatologa. Po chwili znalazł się w poczekalni, pełnej takich jak on „pacjentów”. Przesiedzieli do rana. Gdy zrobiło się jasno i strzelanina przycichła, podszedł do okna, by ocenić sytuację na ulicy. W chwilę potem kula przebiła szybę tuż nad jego głową. Strzelił snajper z gmachu „PASTY”. Skok przez Świętokrzyską, krótkie dojsię od bramy do bramy, od po-

dwórza do podwórze – i dotarł na Moniuszki 4. Tu urywa się moja „pamięć szczegółowa”. Zostają migawki z tamtych dni i nocy. Wzrastająca aktywność lotnictwa niemieckiego. Pierwsze ataki z moździerzy ustawionych na dwóch mostach kolejowych, przerażające koszmarnymi zgrzytami towarzyszącymi odpalaniu pocisków, zmieniających w słup ognia każdy obiekt, na który spadały. Nazywano te moździerze „krowami”, wywierały koszarne wrażenie, tworzyły jakby płonąca wyspę w miejscu upadku. Ich dzikie „skrzypienie” wywoływało nie dające się pokonać uczucie paniki. Nie tylko na ludziach. Pies Wujostwa, chyba cocker spaniel o imieniu „Kiks”, niemal wbiegał wtedy na ściany. Naloty stawały się z każdym dniem cięższe. Stałym celem ataków był pobliski „Prudential”, najwyższy przedwojenny budynek w Warszawie. Przestaliśmy schodzić do „schronu”, w którym zakwaterowała się powstańcza Komenda Armii Krajowej.

Krażyła pogłoska, że stamtąd nadawane są komunikaty radiowe. Nie sposób odtworzyć tamtą codzienność. Wuj był zrozpaczony i milczący. Ciocia była zrozpaczona i zabiegająca o zapewnienie domownikom posiłków. Mieli jakieś zapasy kaszy i sucharów. Pamiętam, jakim posiłkiem regenerującym było osłodzone kakao na wodzie. Jadzia była zrozpaczona, przerażona i milcząco dzielna. Ja trwałam w milczącym przerażeniu, czuwając, czy nie ustają ruchy dziecka. Jerzy był zdruzgotany beznadzieją rozwoju wydarzeń i upokorzeniem swoją bierną pozycją. Nie szukał możliwości dołączenia się do walczących oddziałów. Na pewno był to nie tylko brak przynależności organizacyjnej na terenie Warszawy, ale poczucie odpowiedzialności za mnie i nasze dziecko. Włączył się do obrony cywilnej, sprawdzał zagrożenia pożarowe na strychach. Nosił wodę z Nowego Świata, chodził do księgarni Arcta i pomagał zabezpieczać książki.

Pamiętnym dniem był 17 sierpnia. Wczesnym popołudniem, gdy Jerzy właśnie penetrował strychy, a reszta domowników była w mieszkaniu, rozległ się nagle ogłuszający wizg lecącego pocisku i huk uderzenia, które zakofało całym domem. Zobaczyliśmy ogromny lej w podwórzu. Wybuch nie nastąpił. Do „schronu” – czyli sali podwieczorkowej „Adrii”, położonej właściwie pod podwórzem, przebił się 1000 kg pocisk, który nie wybuchł.

Ocalało to nie tylko nasz front i oficynę, ale wszystkie otaczające budynki. Po tem mówiono, że te częste niewypały były zasługą polskich robotników, wywożonych na roboty do Niemiec, którzy dokładali wszelkich starań, by te niewypały produkować.

Ocalało to nas i uciekinierów z sąsiednich domów. – Zginęło dwóch ludzi z zakwaterowanych tam „AK-ców”. Tonę trotylu wykorzystali powstańcy na swoje pociski. Patronem tego dnia był polski dominikanin, św. Jacek Odrowąż. (Po wojnie byłam w Kościele Dominikanów we Wrocławiu – kaplica z relikwiami św. Jacka ocalała, jako jedyny fragment całkowicie poza tym zniszczonego kościoła). Do dziś myślę, że ocaliliśmy cudem.

Drugą datą utrwaloną w pamięci był 26 sierpnia – święto Matki Boskiej Częstochowskiej. Rozeszła się wiadomość, że w ogródku na tyłach kawiarni Bliklego będzie odprawiona uroczysta Msza św. – chyba około południa.

Poszliśmy we dwoje. Zgromadziło się wielu mieszkańców, pod murem ustawili niewielki ołtarz polowy, mszę celebrował biskup Adamski. Dzień był słoneczny, upalny. Po Podniesieniu nad nami zaczął krążyć samolot. Zdawało się, że pilot namierza cel dla bomb. Ale ich nie rzucił, nie strzelał z karabinu maszynowego, odleciał.

I znów szereg dni nie do odtworzenia w ich koszmarnej jednostajności.

O mojej rodzinie nie wiedziałam nic. Wujostwo Schochowie z moją Babcia byli w Świdrze koło Otwocka, na prawym brzegu Wisły. Losów Mamusi i Panny Loli nie znałam, dochodziły wiadomości o tragicznych losach mieszkańców Mokotowa. Mój brat rodzony i trzech braci ciotecznych – Piotr Schuch, Janusz i Zdzisław Hamanowie byli na Czerniakowie. Spotykaliśmy tylko Stanisława Schucha, był w Śródmieściu. Został lekko ranny w głowę, dał nam znać, że jest w szpitalu na Chmielnej. Dotarliśmy do niego. Jego stan był zadowalający.

[15.VIII.04. Dla Jadwigi – wspomnienia z okresu powstania – cz. II] pisana po kilkudniowej przerwie, w czasie której słuchałam rocznicowych audycji radiowych opracowanych przez niestrudzonego Władysława Bartoszewskiego i – na koniec – rozmowy przeprowadzonej ostatnio przez Andrzeja Wajdę z Janem Nowakiem Jeziorańskim.

Wstrząsające są te powroty – niestety potwierdzają zasadność rozpacz i Wuja Jerzego i mojego Jerzego. Anglosasi mieli jeden cel – nie dopuścić do tego, by Polska stała się kością niezgody pomiędzy nimi a Stalinem. Nie wchodziła w grę żadna decyzja, której nie akceptowała Moskwa. Toteż wizyta Mikołajczyka u Stalina, na 2 dni przed wybuchem powstania, zapowiadająca podjęcie akcji zbrojnej, spowodowała zatrzymanie się potężnych sił sowieckich na prawym brzegu Wisły i pozostawienie Warszawy samej sobie. Miało być kilka dni – trwało 63 dni.

Wracam do drugiej połowy sierpnia na Moniuszki. Było coraz ciężiej. Samoloty niemieckie nadlatywały coraz częściej, ostrzał z moździerzy trwał, docierały straszne wiadomości. Wzburzenie wybuchu czołgu-pułapki, pozostawionego podstępem przez Niemców w pobliżu Placu Krasieńskich, spowodował setki ofiar. Dogorywało Stare Miasto, z którego wydobywano się poprzez koszarne kanały. I tak dzień po dniu – aż do 4-go września, gdy w godzinach przedpołudniowych zaczął się nalot na naszą ulicę. Zeszliśmy do piwnicy – bez Jerzego, który poszedł po wodę. Bomby padały tuż-tuż, byliśmy nie pod naszą oficyną, lecz chyba od frontu. Stropy wytrzymały. Gdy nalot się skończył, zobaczyliśmy, że oficyna jest częściowo zburzona i płonie. Wujostwo kazali mi iść do księgarni Arcta, a sami z Jadwigą spróbowali jeszcze wrócić po jakieś rzeczy do domu. Szłam półprzymotna, cała osypana pyłem, trzymając małą walizeczkę ze środkami opatrunkowymi i jakimiś lekami pierwszej pomocy, z którą się nie rozstawałam.

Gdzieś – chyba na Wareckiej – zobaczyłam Jerzego dźwigającego wiadra z wodą. Doszliśmy do księgarni Arcta. Zostałam tam pod opieką Pani Arctowej, która pomogła mi się obmyć i przebrała w swoją suknię. Jerzy poszedł na Moniuszki. Wrócił z Wujostwem i Jadzią. Nie pamiętam, czy i co zdołali jeszcze ocalić z domu. Pies pognał gdzieś jak oszalały i już nie wrócił.

Znaleźliśmy się wszyscy w piwnicach księgarni, obok stert niezliczonych tomów, które tam miały ocalać. Państwo Arctowie przyjęli nas jak najbliższych sobie ludzi. Mieli pod opieką dwóch wnuków-bliźniaków, chyba sześciolatków. Ich ojciec, dr medycyny Witold Arct, walczył jako oficer w armii polskiej na Zachodzie. Jakie były losy ich matki – nie pamiętam. Jeden z chłopców, Grześ, zachorował w czasie powstania na szkarlatynę, miał zapalenie stawów i wsierdza, gorączkował, był krańcowo wycieńczony. Spaliśmy pokotem w piwnicy. Następnego dnia nad ranem Jerzy szepnął do mnie: „Pan Bóg nas z tego wyprowadzi. Będiesz miała córeczkę, taką maleńką. Ja to wiem”. Dwa dni później w godzinach porannych usłyszeliśmy jakieś głosy i kroki dochodzące z księgarni. Byli to żołnierze niemieccy, którzy weszli nagle do domu od Nowego Świata – dotarli od strony Powiśla.

Kazali nam natychmiast wychodzić. Nie sięgnęłam nawet po swoją lekarsko-pielegniarską walizeczkę, choć miałam ją pod ręką.

Wyszliśmy na Nowy Świat. Pan Arct niósł na plecach Grzesia. Staliśmy wśród mieszkańców wyganianych z ocalałych pobliskich domów. Przeprowadzono nas koło barykady zamykającej wylot ul. Foksal i wprowadzono w podwórze któregoś z ocalałych domów, blisko Ordynackiej. Grupę młodych mężczyzn – w tym Jerzego – Niemcy odprowadzili w kierunku barykady. Nie pamiętam, po jakim czasie wrócili. Wydawało się nam, że są już straceni – były to jedyne chwile, w których wydawało mi się, że zaraz zemdleję. Nie wiem, ile czasu to trwało. Ale wszyscy wrócili. Kazano im rozebrać barykadę. Żadne strzały ze strony powstańców nie padły. Potem prowadzono nas znów Nowym Światem, wśród płonących już na tym odcinku domów, przed zniszczonym frontem Kościoła św. Krzyża, już bez figury Chrystusa – aż do Uniwersytetu, na teren ogrodu. Tam spędziliśmy noc – stłoczono nas w ogromnej auli Wydziału Prawa, w tej samej, w której pięć lat wcześniej zdawałam egzaminy wstępne na Wydział Lekarski. Rano zaczęto formować z nas ogromną kolumnę. Zjawiły się Siostry Wizytki, którym pozwolono roznosić kawę zbożową w dzbankach. Staliśmy z państwem Arctami blisko siebie. Pan Stanisław znów niósł na plecach Grzesia. Jego Żona prowadziła braciszka – bliźniaka. Przy wyjściu z Uniwersytetu otoczyła nas eskorta z Ukraińców. Zaczęliśmy iść w kierunku Woli. Wiele domów płonęło, inne leżały w gruzach. Był to chyba 6-ty września, znów słoneczny, pogodny – tym straszniejszy był widok zniszczonego i płonącego miasta. Pamiętam myśl: „Warszawa jest zabita. Już nigdy do życia nie wróci...”.

Doprowadzono nas do Kościoła na Woli. Ogromny Kościół wypełniony był zgarniętą przez Niemców ocalałą ludnością. Ludzie siedzieli lub leżeli pokotem na posadzce. Duży ogród otaczający Kościół był poryty rowami służącymi za latryny. Wszędzie unosiły się roje much. Był to koszmar, w którym przetrwaliśmy do późnego popołudnia. Znów zaczęto formować z nas kolumnę, doprowadzono w pobliże Dworca Zachodniego i załadowano do pociągów stojących poza peronami. Przed zachodem słońca, wyładowano nas przed wejściem do Warsztatów Kolejowych w Pruszkowie. Niemcy i Ukraińcy zabezpieczali przed próbami ucieczki. Minęliśmy bramę, weszliśmy na teren podzielony siatkami na sektory. Przed pierw-

szym barakiem, po lewej stronie, stała grupa rannych – był to widocznie szpital polowy. Wśród nich zobaczyłam Staśka Schucha z bandażami na głowie. I on nas zobaczył. A więc przeżył ewakuację ze szpitala na Chmielnej.

Poprowadzono nas w głąb obozu do jakiejś ogromnej hali. Położyłam się na cemencie i zasnęłam kamiennym snem. Obok Jerzego, Wujostwa, śmiertelnie zmęczonych Państwa Arctów i chłopców.

Nastał ranek 7-go września. Znow piękny po zimnej już nocy.

Wszędzie były tłumy ewakuowanych. Jerzy próbował zebrać jakieś informacje o sytuacji. Ja nagle zobaczyłam dobrze mi znaną młodą kobietę w stroju pielęgniarskim, towarzyszącą niemieckiemu lekarzowi w białym kitlu. Rozmawiała z nim swobodnie po niemiecku. Była to córka przyjaciół mojego Wujostwa, towarzysząca z dzieciństwa i młodości moich stryjecznych braci. Podeszłam do niej z nadzieją, że mój stan może nam ułatwić wydostanie się z obozu. Ale otrzymałam odpowiedź przeczącą.

Jerzy wrócił z wiadomością, że trwa selekcja ludności zgromadzonej w obozie, że na pewno Wujostwo i Jadzia i ja zostaniemy zwolnieni jako ludność cywilna, a mężczyźni są kierowani do obozu pracy. Bardzo nalegał, byśmy nie zwlekali ze zgłoszeniem się. Podobnie jak Państwo Arctowie z chłopcami. Tak się stało.

Po południu stanęliśmy przy przejściach obstawionych przez oficerów niemieckich. Wujostwo i Jadzia zostali skierowani do grupy ludzi starszych i dzieci. Jerzy – do grupy młodych mężczyzn. Ja – do grupy młodych kobiet. Miałam na sobie jakąś pelerynę, maskującą całkowicie sylwetkę. Zatrzymałam się i nieporadnie po niemiecku powiedziałam do młodego oficera, że wkrótce mam urodzić dziecko. Zahałał się i przesunął nas do grupy, w której stali już Wujostwo i Jadzia. Załadowano nas późnym popołudniem do stojących na bocznicach kolejowej wagonów towarowych. Państwo Arctowie zniknęli nam z oczu. Wieczorem transport ruszył. Siedzieliśmy ciasno w słomie. Po pięknym dniu zapadła bardzo zimna noc. Blisko mnie siedział ciężko chory chłopiec, miał półprzymknięte oczy i straszliwie cuchnący oddech. „Ropień płuca” – pomyślałam. Jechaliśmy tak do południa następnego dnia, odstawiani co kilkanaście kilometrów na bocznicę. Pociąg zatrzymał się ostatecznie w miasteczku Końskie. Wyładowano nas. Miejscowa ludność otworzyła przed nami domy. Dano nam miski z ciepłą wodą, mydło, ręczniki, nakarmiono jakąś wspaniałą zupą i chlebem. Późnym popołudniem był stamtąd pociąg do Piotrkowa, gdzie mieszkała matka Jerzego – w świeżej jeszcze żałobie po śmierci Wandy, młodszej siostry Jerzego, która zapadła na piorunującą gruźlicę w czasie warszawskiego września, gdy pracowała jako pielęgniarka w Szpitalu Szkoły Pielęgniarskiej na Koszykowej. – Wyszliśmy na dworcu w Piotrkowie już po godzinie policyjnej. W budynkach dworca koczowała już gromada ludzi. Jakiś życzliwy kolejarz, zobaczywszy nas, zabrał Wuja Jerzego i mnie do swojego mieszkania, tuż obok dworca. Mogliśmy przedzierać do rana na fotelach w jego domu. Rano wróciliśmy na dworzec i ruszyli do domu Matki. Mieszkała – po zniszczeniu ich pięknego mieszkania, położonego blisko Kościoła Bernardynów w środku dawnego Piotrkowa – w biednym domku z czerwonej cegły, na bliskim przedmieściu. Koło

7-ej zadzwoniłiśmy do Jej drzwi. Otworzyła, ogarnęła nas wzrokiem i ze stężoną twarzą spytała: „Gdzie Jerzy?”.

To mieszkanie stało się dla nas przystanią.

Gdzie był Jerzy?

Pytanie Matki, przepełnione lękiem, zawisło nad naszym popowstaniowym bytowaniem w Jej domu. Po pierwszym tygodniu dotarły list i pocztówka adresowane do Niej nieznanym charakterem pisma. Zawierały wiadomość, przepisaną przez nadawców z karteczek papieru, znalezionych przy torach kolejowych linii Warszawa–Częstochowa: „Jadę Frankfurt na Odrę – Jerzy”.

Wkrótce potem w biurze Rady Głównej Opiekuńczej wywieszono listę obozów, do których Niemcy wywozili ludność Warszawy. Zawierała ponad 120 pozycji. Na poczcie udało się dostać karty z opłaconą odpowiedzią. Matka ułożyła po niemiecku tekst prośby o informację, czy ten-a-ten przebywa... Wypełnialiśmy z Jadzią te pocztówki przez kilka dni. Po jakimś czasie zaczęły przychodzić odpowiedzi. Do połowy listopada nadeszło ich dziewięćdziesiąt. Zasada „Ordnung muss sein” funkcjonowała sprawnie mimo wojennych warunków.

Rankiem 16 listopada znalazłam się na oddziale położniczym. Około czternaściej urodziła się nasza córeczka. Okrzyk położnej: „Dziewczynka! Jakie śliczne dołeczki w buzi” był dla mnie potwierdzeniem nadziei wyszeptanej przez Jerzego w piwnicy pod księgarnią Arcta: „Będziesz miała córeczkę – Pan Bóg nas z tego wyprowadzi. Wiem to”. Matce pokazano wnuczkę dopiero na oddziale noworodków. Pielęgniarka żartobliwie kazała jej zgadnąć, które maleństwo jest jej wnuczką. Noworodków było piętnaścioro. Wybrała bez wahania – podobno była kopią swego ojca.

Moim dobrym duchem i opiekunem w tych dniach był kolega szkolny i przyjaciel mojego ojca, dr Jerzy Suffczyński. Matka zaprowadziła mnie do niego wkrótce po naszym przybyciu do Piotrkowa. Przyjął mnie tak, jakbym była jego trzecią córką. Natychmiast otworzył szafę z ubraniami swojej żony i zaczął wyciągać suknie, płaszcze, futro nawet – trzeba go było w tej akcji hamować. Żona nie miałaby się chyba w co ubrać! W szpitalu stawał przy moim łóżku wielokrotnie, a po przyjściu dziecka na świat cieszył się, że się urodziło... w dniu Jego urodzin!

W dwa dni później dotarł mój brat. Był na Czerniakowie, koło klasztoru Nazeretank, razem z Piotrem Schuchem, Januszem i Zdzisławem Hamanami, w oddziale rozmieszczonym naprzeciwko koszar niemieckiej artylerii, która ich rozbiła w ciągu kilku godzin. Wszyscy czterej ocaleli. Nazajutrz trzej młodzi rozstali się z Piotrem. Przeszli przez Czerniaków i Siekierki do Łasku Kabackiego bez spotkania z Niemcami. Piotr został razem ze swoim przyjacielem z zamiarem przedostania się na drugi brzeg Wisły pod osłoną nocy i przepaść bez wieści.

Pozostali członkowie rodziny przeżyli. Moja matka i pani Lola znalazły się w Pruszkowie po przejściu ewakuacji z Mokotowa poprzez koszmarny „Zieleniak”. Zginęła przyjaciółka z dzieciństwa Ewa Matuszewska, sanitariuszka batalionu

„Zośka”, zastrzelona przez Niemców na Mokotowie, gdy trwała przy rannym powstańcu, też przez nich zamordowanym. Zginęła Krystyna Wańkowicz.

Po dziesięciu dniach wróciliśmy ze szpitala do domu Matki. W dwa dni później przyszedł list z Mauthausen. Formularz obozowy był wypełniony pismem Jerzego. Miałam się w przyszłości dowiedzieć, że w okresie gdy przebywał w obozowym „rewirze” (zastępującym szpital), został wezwany do „Schreibstuby”, co nie oznaczało nic dobrego. Tymczasem dano mu blankiet listowy i kazano „sofort” napisać do domu. Był to skutek nadejścia mojej pytającej kartki. Mam ten wyblakły list do dzisiaj. „Ich bin gesund und fühle nicht gut...”.

Grozę niewiedzy zastąpiła groza wyobrażeń o warunkach, w jakich się znalazł. Nie wiedziałyśmy, że przebył tydzień w Oświęcimiu, że pracował w kamieniołomach, że miał być wzięty do Ebensee, skąd nikt nie wracał, bo więźniowie wykuwali schrony w skałach, stojąc w wodzie górskiego jeziora. Że gdy kuśtykał w kolumnie przeznaczonych do transportu (a zaliczał się już do „muzułmanów”, więźniów krańcowo wycieńczonych), jakiś strażnik zwrócił uwagę na jego nogę okreconą szmatą i zatrzymał go. Noga była objęta ropowicą. Strażnik odesłał go na „rewir”. Tam znaleźli go „starzy więźniowie”, mający jakąś siatkę koleżeńską pomocy, zaczęli go dożywiać, a po jakimś czasie znaleźli zatrudnienie w dziale ewidencji ludzi przywożonych w kolejnych transportach. Trzeba było zakładać im karty ewidencyjne. Wymagało to znajomości języków, a i to nie pozwalało uniknąć trudności, gdy np. przyjeżdżały transporty węgierskich Żydów. Ale o tym wszystkim dowiedziałyśmy się dużo, dużo później.

Wysłałyśmy natychmiast odpowiedź z wiadomością o urodzeniu się córeczki i nadaniu jej imienia Anny Marii. Matka poprosiła kuzynkę mieszkającą na terenie „Reichu” o nadanie paczki. Poszły następne listy...

Wózek z dzieckiem stanął koło mojej kozetki. Mieszkałyśmy – Matka, Jadzia i ja – w większym, przechodnim pokoju. Wujostwo zajmowali mniejszy, będący uprzednio sypialnią matki. Bardzo trudne były te tygodnie. Pierwsze z nich musiały przeleżeć – dopiero dr Suffczyński wyprowadził mnie z komplikacji, z jakimi wróciłam. Małeńka była niespokojna. Wkrótce nie miałam jej czym karmić. Źle znosiła karmienie sztuczne. Nastąpiła kolejna ciężka, okupacyjna zima. Bytowanie, z koniecznością palenia w piecach, było coraz trudniejsze. Nadeszła smutna Wigilia. Tuż przed godziną policyjną zajechała dorożka przed dom. W drzwiach stanął dr Suffczyński – przywiózł kilka pomarańczy, jakiś domowy wypiek – i ogrom swojej serdeczności.

W połowie stycznia stało się jasne, że front przesuwa się na zachód. Przez Piotrków zaczęły się przemieszczać coraz liczniejsze oddziały niemieckie. Popołudniem 16 stycznia załomotano do drzwi. Stańło w nich trzech niemłodych żołnierzy w mundurach Wehrmachtu. Zażądali kwatery. Matka próbowała im tłumaczyć swoją świętą niemczyzną, że nie ma miejsca, że jest chory starszy człowiek i małeńkie dziecko... „Erzählen Sie keine Romane” usłyszała w odpowiedzi. Zajęli kuchnię, wyszli, przynieśli wkrótce zarekwirowaną komuś ogromną gęś, zajęli się jej sprawieniem, a potem rozsiadli się w większym pokoju. Byli to

niemłodzi Bawarczycy. Kleli Hitlera w żywy kamień. Chcieli tylko jednego – wrócić do swoich domów.

W nocy słyhać było nadal maszerujące oddziały, łoskot armat i samochodów pancernych. Wczesnym rankiem zaczęła się jakaś kanonada. Zeszliśmy do piwnicy, bo ściany drżały i okna dzwoniły. Gdy się wkrótce uciszyło i rozjaśniło, weszłam na górę. Mieszkanie było puste, na stole w kuchni leżała oskubana gęś. Zagrzałam trochę mleka na jakichś papierkach. Rano był jeszcze ciężki nalot na Piotrków. Mieszkanie zostało bez szyb. Było lodowate zimno.

Ciotka pobiegła szukać kogoś, kto chwilowo zabije okno deskami – o szklarzu nie było co marzyć. Matka zaczęła rozpalać w kuchni. Koło południa załomotano gwałtem do drzwi. Dwóch żołnierzy radzieckich zażądało kwatery. Zajęli kuchnię. Upiękli ponemiecką gęś. I tak ten groteskowy epizod wpisał się w historyczną datę 17 stycznia 1945 r.

Po przejściu frontu nie było już szans na list z Mauthausen. Skończyła się wreszcie okrutna zima, coraz więcej godzin spędzałam na spacerach z Anušką, wędrując przez pola do pobliskiego majątku, Szczekanicy, z którego właścicielami, pp. Kopczyńskimi i ich dziećmi cała rodzina była zaprzyjaźniona. Najmłodsza ich córka została chrzestną matką naszej Anuški.

9 maja, około południa, we wszystkich kościołach zaczęły bić dzwony. Koniec wojny. Ukłękłam przy łóżeczku dziecka i wybuchłam płaczem, wzbierającym a nie wypłakany przez poprzednie miesiące.

Po jakimś czasie w gazetach pojawiła się wzmianka o wyzwoleniu przez armię amerykańską obozu w Mauthausen i o niezliczonej ilości ofiar, które ten obóz pochłoniął. A potem podano treść proklamacji ogłoszonej przez komitet utworzony z przedstawicieli ocalałych więźniów. Pamiętam nazwiska Cyrankiewicza, Rusinka, Putka. Ostatnie było nazwisko Jerzego Konarzewskiego. Serca nam drgnęły nadzieją. Ale Konarzewski to nie Kozarzewski...

W dniu 13 czerwca, w czasie obiadu, dotarł do nas bliski przyjaciel szkolny Jerzego, Janusz Szymański. Błady, zadyszany, oparł się o ścianę i powiedział: „Jerzy przeżył obóz. Wrócił nasz kolega, Żyd o nazwisku Poznański. Widział go po wyzwoleniu, był w zadowolającym stanie...”. Jakże inne było to czekanie, które zaczęło się od tego dnia.

Wieczorem 2 lipca rozległ się dzwonek. Jadwiga otworzyła. Dobiegł mnie jej okrzyk i głos męski, głos... Wybiegłam do przedpokoju. Na progu stał Jerzy, promienny, uśmiechnięty, bez śladu obozowego wyniszczenia. Z powitań pamiętam tylko, jak stanął przy łóżeczku śpiącej Anuški i wyszeptał: „Jaka śliczna...”.

Wyjechał po tygodniu. Podjął się roli łącznika poobozowych środowisk emigracyjnych z krajem. Panowała tam dezorientacja: wracać do kraju? czy czekać na wojnę aliantów z ZSRR? Musiał tam wrócić z meldunkami. Teraz już nielegalnie...

Nie było go przez kilka tygodni, chyba do początku września. Nadal jeździł po kraju. Od 1 października dostał pracę w Ministerstwie Przemysłu. Zamieszkał chwilowo u cioci Zosi, zamierzając nas do siebie sprowadzić.

W sobotę 2 listopada rano dotarłam do Warszawy, zostawiając Anuškę obu Matkom. Koło ósmej zadzwoniłam do cioci Zosi. Otworzyła mi z poszarzałą twarzą „Czy Jerzy jest z Tobą?” „Jak to”.

31 października nie wrócił z pracy. Nie dał znaku życia. W poniedziałek, 4 listopada, dotarłam do Ministerstwa Przemysłu. Nikt nic nie wiedział. Usłyszałam, że wielu ludzi ginie bez śladu pod gruzami domów. Polecono mi się zgłosić nazajutrz. „Jest aresztowany. Jest skreślony z listy pracowników. Proszę do nas już nie przychodzić...”.

W osiem miesięcy później rozpoczął się proces oskarżonych o szpiegostwo „agentów Andersa”. Sądzone 5 mężczyzn i jedną kobietę. Wszyscy wyszli z obozów koncentracyjnych. Prawie wszyscy należeli w czasie okupacji do NSZ. Wszyscy wracali po wyzwoleniu przez Regensburg... (Ratyzbone). Wszyscy otrzymali wyroki śmierci. Główny oskarżony – podwójny. Wszystkich ocaliła interwencja Juliana Tuwima u Bieruta.

Jerzy wyszedł z więzienia 31 października 1955 r. Czekał na niego dom – wtedy już w Nysie. Zastał żonę, córeczkę prawie już 11-letnią, obie Matki. I tam już pozostał do końca życia. Tam przyszły na świat młodsze dzieci – syn i druga córka. Tam – po latach – urodziły się wnuki i wnuczki. Tam na progu 80 roku życia odbył się jego debiut poetycki.

Zmarł w Warszawie, 1 lutego 1996.